



EPIGONIZM I TANDETA

– Izolacja byłaby nieszczęściem: robimy naukę, bo jesteśmy sami swoi i nic, co jest na zewnątrz, nas nie obchodzi. To byłby samobójczy program, mam nadzieję, że nikt go nigdy nie sformułuje

– mówi **prof. dr hab. Michał Głowiński** w rozmowie rzece z Michałem Wołowcem zatytułowanej „Czas nieprzewidziany”. Prezentujemy jej fragment.

Jaką zmianę rok 1989 spowodował w nauce? Na ile była to znacząca data, co przyniosła nowego, innego w stosunku do sytuacji w okresie PRL-u?

Mogę mówić, opierając się na swoich doświadczeniach, trudno mi wystąpić w roli obiektywnego historyka. Sformułowałbym to kontrastowo. Z jednej strony zmieniło się wszystko, z drugiej strony niewiele. Mówię o samym 1989 roku. Z mojego punktu widzenia zmieniło się to, co się zmieniło z punktu widzenia każdego, kto zajmował się naukami humanistycznymi, był literatem czy krytykiem – zniknęła cenzura i to jest fundament wszystkiego. Skoro zniknęła cenzura, to znaczy, że wróciła swoboda, a dla mnie to wiele znaczyło, jako dla tego, który interesował się językiem propagandy, nowomową, dyskursami oficjalnymi. Znalazłem się w nowej sytuacji; mogłem w jawnych wydawnictwach ogłosić kilka książek, które miałem napisane.

Mogłem te teksty wyjąć z szuflady, opracować i wydać. Następne prace wynikały z moich zainteresowań. Myślę tu o zjawisku pismactwa, o socrealizmie. Mogłem na ten temat ogłaszać artykuły w czasopiśmie, potem zebrać je w książce „Rytuał i demagogia”, która była jedną z pierwszych pozycji na ten temat. Zainteresowałem się tą problematyką pod wpływem mojego ówczesnego doktoranta, obecnie profesora Wojciecha Tomasika, który w swojej pracy doktorskiej pokazał, że o tym warto pisać, że to jest ciekawe. Jego książka ukazała się pod koniec lat osiemdziesiątych, były kłopoty z jej opublikowaniem, dlatego tytuł mówi o poetyce powieści tendencyjnej, o powieści socrealistycznej mówi się już w tekście; to wynik kompromisu. To już był zmierzch socrealistycznych bogów, końcówka.

Z punktu widzenia metodologii badań literackich i ze względu na to, co mnie w literaturze interesowało, w 1989 roku nie zmieniło się nic, dlatego że typ humanistyki, w której obrębie działali moi koledzy i ja, to typ humanistyki całkowicie aideologicznej, niewiążącej się z żadnymi realiami politycznymi, niewiążącej się z dążeniem do kariery, bo na czym by ona mogła polegać? Tego typu humanistykę w dużej mierze, choć nie całkowicie, w miarę swobodnie można było uprawiać właściwie od lat sześćdziesiątych, od okresu popaździernikowego. Władza ludowa miała nieustannie ważniejsze kłopoty niż wtrącanie się do nauki o literaturze, która w związku z tym znajdowała się na wygodniejszej pozycji niż filozofia, socjologia i historia najnowsza. Myślę, że historyk piszący o Władysławie Laskonogim miał równe szanse jak historyk literatury polskiej, a dużo lepsze niż, na przykład, historyk zajmujący się okresem międzywojennym, by nie wspominać o współczesności. Pod tym względem z mojego

PROF. DR HAB. MICHAŁ GŁOWIŃSKI

punktu widzenia zmieniło się niewiele. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych krakowskie wydawnictwo Universitas, a konkretnie jego dyrektor Andrzej Nowakowski, wyraziło ochotę wydawania moich prac wybranych w pięciu tomach. Gdy się przegląda te tomy, trudno się zorientować, co i kiedy było pisane. To po prostu był jeden ciąg. Pod względem teoretyczno-metodologicznym moja książka o powieści młodopolskiej, wydana w roku 1969, merytorycznie niczym się nie różni od książki o krytyce literackiej Młodej Polski, wydanej prawie trzydzieści lat później, a więc wówczas, gdy od dawna nie było już cenzury. Z punktu widzenia metodologii i teorii, a więc głównego obszaru moich zainteresowań, nauka o literaturze w Polsce w 1989 roku nie przeżyła przełomu, bo nie było ku temu powodu. Od marksizmu dawno odeszła, nie była zideologizowana i rozwijała się w miarę swobodnie.

Czyli nie akceptujesz twierdzenia, że dopiero 1989 rok pchnął polską humanistykę, w tym naukę o literaturze, na tory nowoczesności?

Powiem inaczej. Jeśli ktoś chciał prowadzić zajęcia ze studentami lub badania w sposób ideologiczny czy zaściankowy, to tak robił. Ale jeśli ktoś wiedział, jak wygląda humanistyka w różnych swoich wersjach i w różnych uwikłaniach, to postępował tak, że wpisywał się w pewne nurty światowej humanistyki i tu niewiele było miejsca na rewelacje. Jeśli ktoś chciał czytać Derridę i Foucaulta, to ich czytał. Jeśli ktoś chciał czytać niemieckich teoretyków zajmujących się problemem odbioru dzieła literackiego, robił to. Nie było żadnego przymusu ani żadnych ograniczeń. Po 1989 roku i do dzisiaj ważną kwestią, podejmowaną również przez osoby zarządzające nauką, stał się związek ze światową humanistyką. Myślę, że figury urzędowe, które o tym mówią, niezbyt dobrze zdają sobie sprawę, jak to się układało, dlatego że taki program nie jest niczym nowym i hasło nowoczesności, hasło korzystania z nauki światowej, jest nie przełomem, ale kontynuacją tego, co może nie było w Polsce Ludowej zawołaniem programowym, ale było elementem normalnej praktyki naukowej. Nie wyobrażam sobie, że można w humanistyce zajmować się czymś, lekceważąc to, co się mówi u sąsiadów czy co się mówi za oceanem. Skazywanie się na prowincjonalizm jest dziwną formą masochizmu.

Myślę, że polska nauka o literaturze prowincjonalna nie była. Myśmy nie osiągnęli takiego sukcesu, jaki był udziałem uczonych czeskich, którzy na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku założyli praską szkołę strukturalną, ale nie byliśmy jakimś naukowym Pcimem czy Kłajem, traktowanymi symbolicznie. Teraz ta ideologia światowości właśnie jest sformułowana w ten sposób, jakbyśmy byli taką zaśniedziałą w pełni stagnacji prowincją. Otóż nie. Kiedy dzisiaj się mówi o kontaktach z humanistyką światową, to przypomina mi się, co postulował Nikita Chruszczow, nazywany przez znakomitego pisarza angielskiego Juliana Barnesa „kukurydzianym Nikitą”, a mianowicie, że Związek Radziecki musi doścignąć i prześcignąć Zachód. To, jak wiadomo, się nie udało. Doścignięcie nie wyraża się w tym, że czytamy książki publikowane w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Niemczech, może we Włoszech i w Hiszpanii, i wyciągamy z nich wnioski, tylko dla nas może mieć znaczenie, że mając swoje punkty wyjścia, wiemy, co się dzieje na świecie, i bierzemy z tego to, co nam jest potrzebne; wówczas nie można mówić o epigonizmie. Taki powinien być, moim zdaniem, program naukowy państwowych instytucji, które zajmują się tą problematyką. Izolacja byłaby nieszczęściem: robimy naukę, bo jesteśmy sami swoi i nic, co jest na zewnątrz, nas nie obchodzi. To byłby samobójczy program, mam nadzieję, że nikt go nigdy nie sformułuje. Jednakże program naśladowczy typu doścignąć jest też czymś wysoce niestosownym. Wydaje mi się niezmiernie ważne, żeby nie tracić z oczu własnych tradycji, własnego zaplecza i zakorzenienia, bo w innym przypadku będziemy wiecznymi naśladowcami, a to nikogo na świecie nie będzie interesowało, może poza jakimś polonistą, który się zajmuje historią nauki o literaturze.

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że zjawisko, które nazwałem awangardowym epigonizmem, nie ogranicza się do różnych dziedzin sztuki. Jest to zjawisko istotne także w sferze nauki. Przypominam, że termin „awangarda” jest dwuznaczny. Mój krytycyzm wobec kształtującego się w ostatnich kilkunastu czy już kilkudziesięciu latach programu naukowego dotyczy tego, że jest to taki program, w którym chodzi

o przejście paradygmatu, a nie o indywidualne osiągnięcia. Awangardowy epigonizm łączy się z modnisiostwem. Można ogłosić naukowy „Żurnal Mód Paryskich”, tak się nazywało XIX-wieczne czasopismo poświęcone modzie. Otóż można sporządzić katalog obowiązujących motywów, powstają w określonym czasie niezliczone prace na dany temat. Z tym się wiąże kwestia, która zahacza o politykę naukową, mianowicie premiowanie tego, co nazwałem awangardowym epigonizmem. Niby światowość, europejskość, a w gruncie rzeczy epigonizm i tandeta. Wydaje mi się głęboko niepokojące, na co bywają przyznawane granty, jak również premiowanie uczonych, którzy umieją szybko coś napisać.

Najlepiej po angielsku.

W młodym pokoleniu pracowników naukowych wszyscy znają angielski, ale praca pisana po angielsku ogranicza, a niekiedy zamyka możliwość funkcjonowania w kraju. Jestem starym człowiekiem, może leniwym w późnym wieku, ale mnie by się nie chciało czytać po angielsku książki, mimo że wiem, iż autor mógłby to napisać doskonale po polsku. Jeśli chodzi o problemy polonistyczne, pisanie w obcym języku często nie ma sensu dlatego, że jeśli kogoś z uniwersytetu w szerokim świecie interesuje jakiś szczegółowy temat z tego zakresu, to on zna polski.

Język w zdecydowany sposób określa charakter tekstu. Pisząc po angielsku, zwracamy się do innego odbiorcy, co inaczej profiluje temat i sposób jego ujęcia.

To wymaga perfekcyjnej znajomości języka. Powiedział mi kiedyś wybitny chemik, że w jego dyscyplinie napisanie artykułu po angielsku wymaga znajomości podstawowych reguł gramatyki i sześciuset słów. Jeśli z takim wyposażeniem pracę napisze humanista, to zostanie wyśmiany. Publikacje z zakresu humanistyki nie są sprawozdaniem z pracy w laboratorium, ale – to powtarzam nieustannie – są dziełem pisarstwa i humanista jest w istocie swego rodzaju pisarzem.

To po pierwsze, a po drugie, takie obcojęzyczne prace nie mają szans. Kiedyś rozmawiałem z wybitnym amerykańskim slawistą znającym polski; miał przed sobą jakiś maszynopis, w którym były poprawki w każdym zadaniu. Okazało się, że to jest artykuł polskiego uczonego przełożony przez cieszącego się znakomitą opinią tłumacza, który nie był native speakerem, lecz Polakiem niezłe znającym język angielski. Amerykański slawista utrzymywał, że w każdym zdaniu jest błąd. To jest historia z lat siedemdziesiątych.

Dotykamy kwestii kompetencji językowych. Na ile da się w obcym języku zrealizować zadanie humanisty?

No właśnie, bo prace humanistyczne są częścią kultury. Gdyby uczona, która silnie oddziałuje nie tylko na naukę, ale też na kulturę polską ostatnich dziesięcioleci, czyli Maria Janion, pisała swoje prace po angielsku czy po niemiecku, one mogłyby być tam przez kogoś zauważone, ale nie musiały, natomiast w Polsce nie miałyby oddźwięku. Natomiast uważam, że świetną inicjatywą jest wydawanie w przekładach prac polskich autorów, czy to w formie tomów monograficznych, czy to w formie antologii. Udany przykładem wydaje mi się antologia prac o socrealizmie, której ty jesteś jednym z trójki redaktorów. Tego typu inicjatywę mogę tylko chwalić, także z powodów całkiem osobistych, bo dwie moje książki w tej serii tłumaczeń humanistyki już wyszły. Jedna nosi tytuł „Totalitarian Speech”, a druga – „Myths in Disguise”, zresztą parę lat temu ukazała się po niemiecku.

Także uważam, że pisanie w obcych językach albo tłumaczenie pewnych prac własnych na inne języki ma sens, nie może być jednak preferowaną, podstawową formą działalności humanisty, bo to odbywa się kosztem kultury rodzimej, zubaża ją i, paradoksalnie, prowincjonalizuje, ogranicza i ostabia.

To się wiąże z ogólną polityką naukową. Mnie o tym trochę trudno mówić, bo jestem od kilkunastu lat na emeryturze, ale pewne wieści do mnie docierają i mnie niepokoją. Jeśli chodzi o granty, to ta zmiana, nie wiem, czy ona zawsze była dobra, ale już w Polsce jest realizowana niemal od ćwierćwiecza i ją rozumiem, natomiast sama procedura wy-

PROF. DR HAB. MICHAŁ GŁOWIŃSKI

daje mi się dziwna. Przede wszystkim jestem z powodów zasadniczych przeciwnikiem recenzji anonimowych. Recenzja anonimowa skłania czasem do lekceważenia ocenianej rzeczy, skłania do stronniczości i nieodpowiedzialności. Jeśli podpisuję recenzję, biorę za przekazywaną opinię odpowiedzialność, jeśli staję się jakimś doktorem habilitowanym I ksem, to żadnej odpowiedzialności nie ponoszę. Zdarzyło mi się obserwować takie nieodpowiedzialności. Poza tym domyślam się, że anonimowi recenzenci nader często nie mają pojęcia, co recenzują. Dowiedziałem się, że mojemu ostatniemu doktorantowi odmówiono grantu, a jednym z motywów było to, że promotor, czyli ja, nie ma kontaktów z nauką światową. Nieco mnie to zdziwiło, bo akurat, wydaje mi się, że to, co w życiu robiłem, z nauką ma coś wspólnego. Jestem od kilkunastu lat na emeryturze, to w jaki niby sposób mam te kontakty realizować? Prawdopodobnie temu recenzentowi moje nazwisko i to, co w życiu zrobiłem, nic nie mówiło. Sporo moich książek, zarówno naukowych, jak i literackich, zostało przełożonych, a to także stanowi formę kontaktu z szerokim światem.

Przy ocenie wniosków o granty obowiązują różnego rodzaju precyzyjnie sformułowane kryteria, na przykład czy w ciągu ostatnich pięciu lat opublikowałeś pracę w piśmie z jakiejś międzynarodowej listy. Tego typu kryteria są najważniejsze w ocenie tego, co robimy. Zapewne w naukach ścisłych ma to sens, w przypadku humanistyki budzi wątpliwości.

To prowadzi do nadużyć i głupiej formalistyki. Skoro o tym mowa, trzeba wspomnieć, że nastąpiła niesamowita biurokratyzacja życia akademickiego w Polsce. Kiedy się porównuje stan obecny z tym, co się działo w PRL-u, to paradoksalnie PRL wygląda na całkiem liberalne państwo, w którym było zaufanie do ludzi zajmujących się nauką, mających uczniów, publikujących. Z tego, co słyszę od kolegów, teraz jest to horrendum. Jakieś sprawozdania, nieustanne kontrole; nie wiadomo po co to wszystko, czy ktoś to czyta?

Czyta, liczy, podsumowuje. Coraz bardziej stajemy się podwładnymi urzędników, których jest coraz więcej i stają się coraz potężniejsi.

To jest snem biurokraty, rajem biurokracji. Nie ma zaufania do pracowników naukowych. Konieczne jest zmaksymalizowanie znaczenia samorządności zarówno uczelni, jak i instytutów PAN-owskich. Obecnie biurokracja jest pajęczą siecią oplatającą wszystkich. Rodzi patologie często pod szczytnymi hasłami transparentności, wyższej jakości i wydajności, ale z perspektywy czasu widać, że z tego sposobu organizacji nauki szkody są większe niż korzyści. Kierowanie się w życiu naukowym osobliwą pragmatyką, zgodnie z którą trzeba dużo drukować, najlepiej po angielsku, osiągnięcia naukowe liczy się na sztuki, im więcej, tym lepiej, powoduje, że pozoruje się pracę naukową, publikuje byle co, a od pewnego momentu narasta plaga plagiatów.

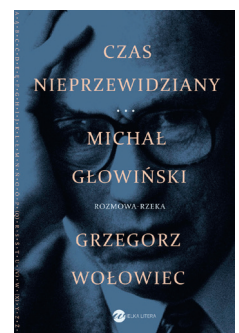
Teraz może dojść kolejne zagrożenie, mianowicie ideologizacja nauki. Taka ponura ewentualność istnieje, widzimy, co się dzieje wokół.

Słyszemy deklaracje osób, które obecnie rządzą nauką – postulują kierowanie się w działalności naukowej kryteriami ideologicznymi. Wyraża się to w finansowaniu badań, co na przykład eliminuje rozważania o tradycjach lewicowych (jeśli nie mają charakteru demaskatorsko-pamfletowego).

W Polsce jest to wielka tradycja, ograniczenia w tej dziedzinie są dla humanistyki i po prostu dla prawdy historycznej niezmiernie groźne.

Po 1989 roku nigdy takiej sytuacji nie było. W polityce naukowej obowiązywały wyłącznie kryteria merytoryczne – projekt zasługiwał na finansowanie albo nie zasługiwał. Teraz po raz pierwszy otwarcie powiedziano, że kryterium ideologiczne jest kryterium podstawowym. To niebywały regres, sprzeniewierzenie się etosowi nauki.

Ograniczenia, o których mówimy, nawet jeśli są tylko zapowiedzią tego, co nas czeka, przypominają mi początek lat pięćdziesiątych w Polsce Ludowej, kiedy mówiło się, że trzeba badać to, co postępowe. A teraz to, co konserwatywne! ■



„Czas nieprzewidywany”
z prof. dr. hab. Michałem
Głowińskim rozmawia
Grzegorz Wołowicz
wyd. Wielka Litera 2018